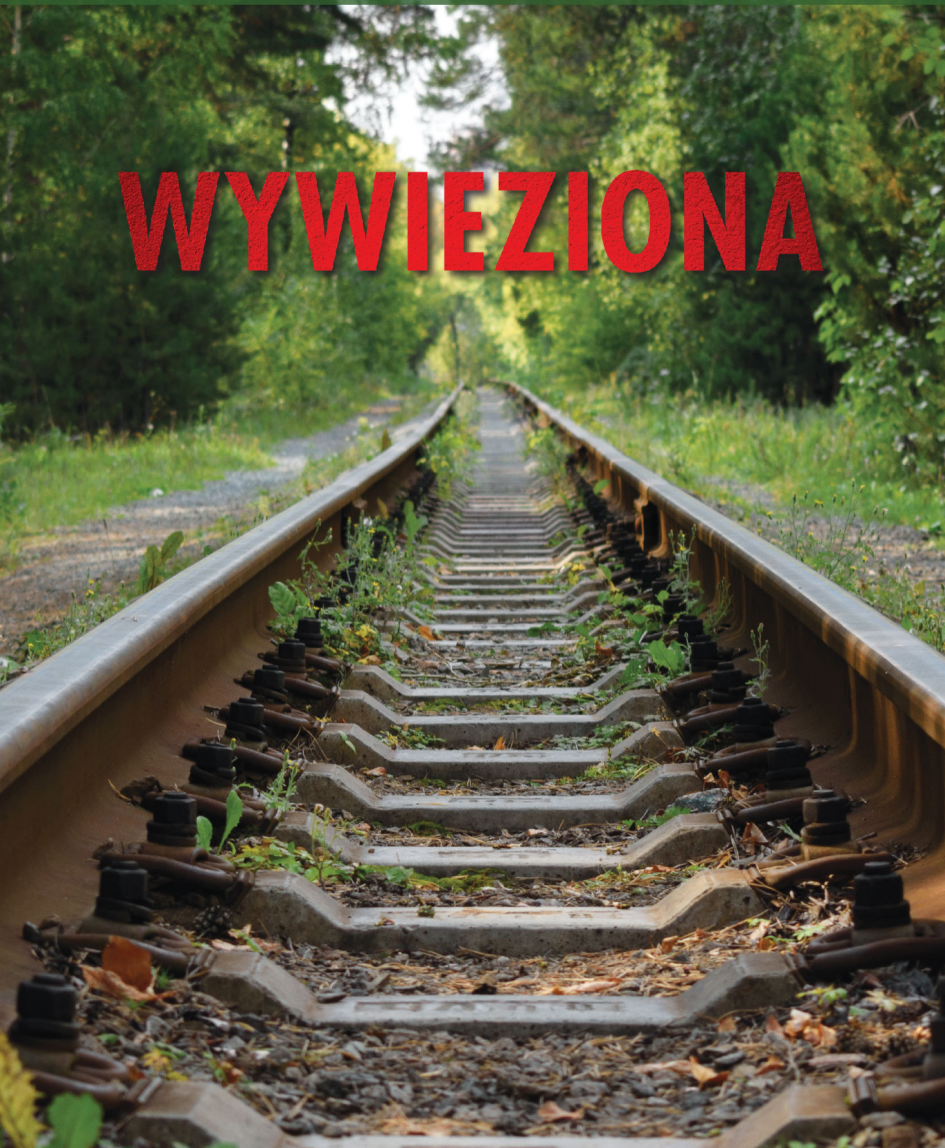


Alicja Lason-Długosz
na podstawie relacji
Leokadii Zwolińskiej

WYWIEZIONA





Książka powstała na podstawie relacji Pani **Leokadii Zwolińskiej**, wywiezionej na Syberię w 1941 roku. Bohaterka wraz z rodziną spędziła pięć lat w tajdze syberyjskiej, w okolicy miejscowości Barnauł. Doskonała pamięć pozwoliła odtworzyć po niemal 80 latach niektóre zdarzenia z tamtego okresu. Jej wspomnienia zostały spisane w listopadzie i grudniu 2021 roku, by nie uległy zapomnieniu.

Leokadia Zwolińska jest członkiem Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych oraz Związku Sybiraków.

Żywa lekcja historii, obecna w tej książce, zainteresuje z pewnością tych, którzy poszukują prawdy.

Alicja Lasoń-Długosz ukończyła Liceum Technik Plastycznych w Kielcach i Studium Reklamy w Ciechanowie. W latach 1976–1981 studiowała na Wydziale Architektury Wnętrz Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W roku 1981 uzyskała dyplom z wyróżnieniem rektorskim. W latach 1982–1995 wykonywała projekty wnętrz, projekty graficzne okładek i ilustracje książkowe. W latach 1996–1997 studiowała na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1995–2021 nauczyciel plastyki.

Alicja Lason-Długosz

na podstawie relacji
Leokadii Zwolińskiej

Wywieziona



Redaktor prowadzący

Wojciech Nowakowski

Redakcja

Błażej Kusztelski

Projekt okładki

Maria Popiak

Skład

Maciej Torz

Copyright © by Alicja Lasoń-Długosz 2022

Copyright © by Leokadia Zwolińska 2022

Copyright © by Sorus 2022

Wydanie I, Poznań 2022

ISBN 978-83-67139-38-0 e-book

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa:

www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus Sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań tel.

+48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

Opowiem Wam moją prawdziwą historię...

Wywiezieni

Był dzień 19 czerwca 1941 roku. Wróciłam z niesporów, które były zawsze odprawiane tydzień po Bożym Ciele. Pamiętam ten piękny dzień i przepiękny wieczór. Słońce wielką czerwoną kulą czerwcową zachodziło powoli za lasem. Czerwony blask otulał wszystko dookoła, budził zachwyt, a jednocześnie jakiś dziwny niepokój. Byłam bardzo młoda, czułam się szczęśliwa. Otrzymałam od życia wszystko, czego do szczęścia potrzeba, nie pragnęłam niczego więcej. Miałam kochanych i kochających rodziców, rodzeństwo, młodość, dostatek i marzenia o przyszłym szczęśliwym życiu po wojnie. Nie dalej jak wczoraj skończyłam siedemnaście lat.

Ucieszona wróciłam do domu. Rozpierała mnie także wielka radość, bo ciocia Stefcia poprosiła mnie, żebym została jej druhną. Wkrótce miała wyjść za mąż. Powiedziałam o tym Mamie:

– Mamo, będę druhną.
– Czyją? – zapytała zdziwiona.
– Cioci Stefci! – krzyknęłam. – Bo wychodzi za Dominika, a ja będę druhną, będę druhną, druhną!

Wyobrażałam sobie tę uroczystość i siebie w niezwykłej, wyjątkowej roli. Mama pewnie ucieszyła się z tej wiadomości, bo nawet uśmiechnęła się delikatnie, ale był w tym uśmiechu i smutek. Trwała przecież wojna i byliśmy zniewoleni, a okupantem stał się nasz sąsiad – Rosja Sowiecka.

Krótko porozmawialiśmy, jak zwykle przed zaśnięciem, potem wieczorna modlitwa i zaraz przygotowanie do spania. Położyliśmy się z Mamą wraz z resztą dzieciaków, a więc z moimi dwoma młodszymi braćmi i z najmłodszą siostrą. Ojca nie było wtedy z nami. Udało mu się umknąć przed sowieckimi represjami i schronić się w Ostrowi Mazowieckiej, u swojej siostry. Mieszkała osiemnaście kilometrów od nas, po stronie zajętej przez Niemcy hitlerowskie. My mieliśmy domostwo niedaleko Białegostoku w miejscowości Muszowo. Jeszcze do niedawna byliśmy wszyscy mieszkańcami Polski, ale wojna rozdzieliła nas granicą wyznaczoną przez dwóch okupantów, wrogich sąsiadów ze wschodu i z zachodu.

Mama, ze smutkiem powiedziała:

– Śpijmy. Zobaczymy, co będzie jutro.

Mówiła, że trzeba liczyć się z następną deportacją na Syberię, ale nikt nie wiedział, kogo ma dotyczyć i kiedy nastąpi.

– Już ludzie o tym mówią – powiedziała szeptem.

Kolejna będzie na pewno. Już jedna była, zimą, w lutym wywieźli rodziny z naszego terenu. Zabrano ich nie wiadomo dokąd, ani na jak długo, i nie wiemy, czy na zawsze.

Wczoraj było wiele radości, bo właśnie w dniu moich urodzin co roku odbywał się w naszej miejscowości odpust. To był zawsze wyjątkowy dzień, osiemnasty czerwca, dzień świętego Antoniego. Tyle ludzi jak zwykle pojawiała się na targu. W pobliżu kościoła ustawiono kolorowe stragany, można było kupować albo oglądać różności. Nasze zainteresowanie wzbudzały zawsze zabawki dla dzieci, zwłaszcza te strugane z drewna, jak koniki, pieski, ptaszki, drewniane motyle klaskające skrzydłami albo puszczalki z balonikami lub wypcha-

ne trocinami kolorowe, małe piłeczki na gumkach lub kolorowe gliniane, gwizdzące ptaszki. Sprzedawano też świeże warzywa, pachnące owoce, słodycze i wiele innych artykułów. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie albo spotkać znajomych.

Na odpust przyjeżdżano furmankami, bo przed wojną samochodów było tyle, co kot napłakał. Brat Ojca wrócił z Ameryki i przywiózł stamtąd duży samochód, który był jakby prywatnym autobusem stryjka. Stryj przewoził ludzi do Częstochowy, do Warszawy, gdzie kto chciał. Był jedynym właścicielem szybkiego środka komunikacji zbiorowej w całej okolicy.

W naszej wsi żyło trzydzieści rodzin żydowskich. Zajmowali głównie rynek. Mieszkali tam i pracowali. Wszystkie sklepy były w ich rękach. Odkąd pamiętam, Polacy i Żydzi mieszkali obok siebie. Żydzi wiedzieli więc wszystko o mieszkańcach wsi.

Nasze Muszowo to taka niewielka wieś w okolicy Białegostoku, jak już wspomniałam, ale z gminą i kościołem z parafią. W parafii było dwóch księży, proboszcz i wikary, którzy dbali o zbawienie dusz wszystkich okolicznych mieszkańców. Do naszej gminy należało szesnaście wiosek. Jak czasem nie mogłam zasnąć, to liczyłam w pamięci te wioski. Pamiętam to, bo kiedy z zesłania wróciliśmy po II wojnie światowej do Polski, to pracowałam jako urzędniczka w gminie.

Wtedy, 19 czerwca 1941 roku, nie wiedziałam jeszcze, że najlepsze lata mojej młodości przyjdzie mi spędzić na wygnaniu, ciężkiej robocie, w trudzie, znoju, z głodem i chorobami, z niepewnością, co będzie jutro. O godzinie pierwszej w nocy, z 19 na 20 czerwca, w sobotę, zbudził nas straszny łomot do drzwi i krzyk po rosyjsku:

– Atwieraj, haziajka!

Mama wstała pospiesznie i poszła otworzyć drzwi. Niespodziewanie wtargnęło do naszego mieszkania kilku rosyjskich żołdatów z karabinami. Rozeszli się po domu i robili rewizję, zaglądając wszędzie, w każdy kąt. Po czym jeden z nich powiedział:

– Sabierajcies do drogi. Masz pół godziny do zebrania wszystkiego... Wyjeżdżacie stąd.

Powiedziałam, że tutaj chodzę do szkoły.

– Niczewo, tam szkoła też jest.

Przyjęłam jakoś tę informację, choć nie rozumiałam, co się dzieje. Wprawdzie Mama wspominała wczoraj wieczorem, że taka sytuacja może się zdarzyć, ale nie przypuszczałam, że właśnie nam. Mimo wcześniejszych przewidywań czułam jednak wielkie zaskoczenie. W pewnym momencie podszedł do Mamy jeden z żołdatów i powiedział cicho:

– Haziajka, bieri wsio, tam niczewo niet.

Ale gdzie? Nie bardzo rozumiałam, co znaczy owo TAM.

Natychmiast rozpoczęliśmy pospieszne pakowanie. Ten żołdat nam pomagał. Są widać różni ludzie na świecie, źli i dobrzy. Ten nie był zły.

Spakowaliśmy jak najszybciej nasze rzeczy: ubrania, pościel, tyle, ile można w ciągu pół godziny. Wszystko zawinięte w duże prześcieradło i pośpiesznie przewiązane, żeby można było wynosić. Wyszliśmy z mieszkania. Mama z dziećmi i ja. Mama trzymała mocno zaspnaną Basię za rękę, chłopcy szli tuż za nami. Zrezygnowani taszczyliśmy nasze tobołki. Przed domem stała furmanka przygotowana na wywózkę, a na koźle siedział z pistoletem woźnica, a obok niego jakiś smarkacz z karabinem. Spojrzałam, a to Berek, mój kolega ze szkoły.

– Berek, co ty tu robisz? – spytałam.

– Ja cię nie znam – odezwał się niechętnie ten nowy janczar sowieckiej władzy.

Zaskoczona jego słowami nic nie odpowiedziałam. To, co się działo później, było jak sen, myślałam, że nie dzieje się naprawdę, że zaraz się obudzę. Wsiadliśmy z bagażami na furmankę. Wokół ciemno, bo przecież noc, więc jeszcze jedno spojrzenie na drogę, na nasz dom i po wyboistej drodze wieziono nas w nieznaną, wyłącznie z tym, co zdołaliśmy zabrać. Mieliśmy pierzynę, trochę ubrań, to, co Mama wcześniej przygotowała, i to, co my pośpiesznie spakowaliśmy. Przed następnym domem stała już inna furmanka. Tam też smutni ludzie ładowali swoje rzeczy, tak jak my przed chwilą, i sadowili się gotowi do drogi.

Patrzyliśmy z ciekawością, ale i strachem. Mama cicho płakała, na wpół śpiąca Basia mocno przytuliła się do niej. Władek i Julek rozglądali się w ciszy. Powiedziałam wtedy:

– Mamo, nie płacz, zobaczymy, co będzie, przecież sobie poradzimy.

Mama smutno patrzy w dal, przytula popłakującą Basię i lzy spływają jej po policzkach. Po chwili otarła oczy rękami. Pomyślała pewnie o tym, że ma czworo dzieci i nieznaną, niepewną przyszłość. Nie wiadomo przecież, co będzie dalej. No cóż, inaczej przeżywają tego typu sytuacje młodzi, a inaczej starsi. Ogółem z naszej miejscowości wywieźli dziewięć rodzin.

Mieszkaliśmy wtedy między Ostrowią Mazowiecką a Zambrowem. W Muszowie, naszej wsi, był przed wojną wielki poligon wojskowy, Czerwony Bór. Przyjeżdżały tam tanki (czołgi) na manewry. Okoliczne panny cieszyły się, każda miała wtedy świeżą ondulację i wypatrywała żołnierzy.

– Wojsko przyjeżdża – rozchodziła się już wcześniej wieść.

Zanim się pojawiło, czyniono przygotowania. Przyjazd wojska stawał się radosnym świętem dla całej okolicy. Szykowano wielkie bramy wjazdowe, bogato udekorowane zielonymi gałęziami i kwiatami. Gdy pojazdy wojskowe skręcały z szosy, jechały po bruku, a nie po zwykłej wiejskiej drodze. Taka utwardzona, brukowana ulica to było wtedy coś, z czego byliśmy dumni.

Wyjechaliśmy furmanką z naszego Muszowa i powoli po wąskiej, wyboistej drodze podążaliśmy około 10 kilometrów do najbliższej stacji kolejowej, czyli do Gniadowa. Była ciągle noc. Mówiono nam, że jedziemy na stację w Gniadowie, gdzie stoją już przygotowane dla nas wagony.

Był już dzień 20 czerwca. Koniec wiosny, bardzo ciepło, ale jeszcze szaro, dopiero zaczynało się rozwidniać. Leniwie budził się dzień letni, ale ponury. Rozejrzeliśmy się po stacji i zobaczyliśmy, że to nie były wagony osobowe, ale towarowe. Pomyślałam, że się pomylili, mówiąc nam, że to nasz pociąg, i że będziemy czekać na właściwy, którego jeszcze nie ma na stacji, ale na pewno wkrótce nadejdzie. Nie, oni się nie pomylili, to był nasz pociąg. Mieli nim jechać ludzie, a towarowe wagony do przewożenia zwykle bydła dla nas przeznaczono.

Ładowaliśmy się do środka wraz z innymi, wzajemnie sobie pomagając. Dłuższy czas panowało zamieszanie, wrzawa, zgiełk. W czasie załadunku na stacji przebywali ludzie, którzy próbowali nam coś dawać, jakiś kawałek słoniny lub chleb, choć strażnicy pilnowali, odganiaли. Niczego nie wolno było dawać ani niczego brać. Nasza ciocia, siostra Mamy, zdążyła nam jednak przynieść kawał słoniny i kawałek boczku. Szła 10 kilometrów, żeby

nam to dać na drogę. Bała się, że nie zdąży, ale jakoś się jej udało. Płakała i przytulała nas na pożegnanie.

Nie pozwalano, żeby ktoś się z nami kontaktował w drodze i nam pomagał oraz coś dawał, sami też nie mogliśmy przygotować sobie i zabrać zapasów jedzenia w tak krótkim czasie, który nam dano w domu na spakowanie. A zatem mieliśmy jechać, można powiedzieć, na stracenie, bez prowiantu, na głodową śmierć. Zawia-dowca dał znak do odjazdu, lokomotywa jakby na po-żegnanie ostrzegawczo, groźnie i głośno zadźwięczała, dając wyraźnie sygnał, że zaraz będziemy jechać. Ruszy-liśmy.

W naszym wagonie zrobiło się tymczasem tłoczno i ruchliwie. Byli ludzie, były bagaże spakowane podobnie jak nasze i były cztery wysokie i duże, drewniane prycze, które tam dostrzegłam. Cztery rodziny i cztery prycze w wagonie, rozumieliśmy zatem bez słów, że dla każdej rodziny jest prycza. Zajęliśmy jedną z nich i umieściliśmy na niej nasze rzeczy. Władek i Julek od razu wdrapali się na górę. Gdy wyjeżdżaliśmy z Gniadowa, nad horyzon-tem wschodziło złote słońce. Ten blask, jak boski wy-słannik, pewnie miał nam obiecać jaśniejszą przyszłość, dodać otuchy i dać nadzieję na przeżycie.

Na przejeździe kolejowym, który powoli mijaliśmy, stał ksiądz i udzielał nam błogosławieństwa. Widzieliśmy go z małych okien wagonu. Rysował w powietrzu znak krzyża i patrzył na nas odjeżdżających. Wiedział widocz-nie, że będziemy tamtędy jechać, ale ani on, ani nikt inny nie miał pojęcia, dokąd nas wiozą. Cały pociąg wypełnio-ny był zdezorientowanymi ludźmi. W naszym wagonie słychać było szmer krótkich, urywanych rozmów i gło-śny, rytmiczny stukot kół pociągu przeplatany od czasu do czasu nieprzyjemnie ostrym, groźnym zgrzytaniem.

Nie jechaliśmy zbyt długo, kiedy pociąg zwolnił bieg i dotarł do Białegostoku. Na stacji stanął, bo doładowywano kolejnych zesłańców. I tak czyniono przez czas jakiś, upychając w pociągu wciąż nowe rodziny, które podwozili na stację furmankami. Transportowali ludzi z różnych miejscowości do większych stacji, a tam ładowano ich wraz z bagażami do takich jak nasze, towarowych wagonów z pryczami.

W Białymstoku staliśmy kilka godzin, prawie cały dzień. Otrzymaliśmy tam po wiadrze i powiedziano nam, że są na wodę, którą należy wziąć do pociągu. Bracia i ja, tak jak inni, poszliśmy do wyznaczonego miejsca po wodę. Podobnie jak my wychodzili z wagonów i stawiali w kolejce dorośli i dzieci, każda rodzina taszczyła wiadro. Okazało się, że wiadra były przeznaczone na tzw. kipiatok. Mówiono nam, że to przegotowana woda, którą uzupełnialiśmy potem na każdym dłuższym postoju. Nie wiedzieliśmy, kiedy pociąg się zatrzyma, a postoje nie były częste. Poszliśmy więc razem po ten kipiatok, który potem okazał się bardzo potrzebny w naszej długiej podróży. Gdy na stacji w Białymstoku staliśmy we trójkę w kolejce i potem nalewaliśmy wodę do wiadra, podeszła do nas nieznajoma kobieta i powiedziała do mnie cichym głosem:

– Zostań, dziecko, my cię schowamy tutaj, zostań.

Równie cicho odpowiedziałam:

– Nie mogę zostać, bo jestem najstarsza, a moja Mama jest bardzo zmartwiona, przerażona i w ogóle wyłączona z życia. Nie wie, co się dzieje. – A po krótkiej chwili dodałam: – Mam jeszcze troje rodzeństwa, a ja jestem najstarsza. Muszę jechać, żeby się nimi opiekować.

Nieznajoma skinęła głową i z lekkim uśmiechem dodała:

– Niech Bóg ma was w opiece.

Nawet nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy kobieta szybko się oddaliła. Wracaliśmy do pociągu z wiadrem, w którym chlupotał kipiatak. Ta nieznajoma kobieta na stacji i jej cicha propozycja uświadomiły mi w jednej chwili, że nie mogłabym opuścić rodziny, jestem jej potrzebna i chcę być potrzebna. Nie miałam żadnych wątpliwości, chciałam być z moją rodziną, a nie bez niej. Wtedy już zdawałam sobie sprawę, że muszę być silna, bo jestem najstarsza i mam obowiązek opiekować się młodszym rodzeństwem, muszę im pomagać, zastąpić im Ojca i wspierać Mamę. Zwłaszcza w tym czasie, gdy Mama stała się jakby nieobecna. Muszę być z nią, mojej siły musi wystarczyć i dla niej.

Życie stawia przed nami niezwykle zadania, czasem ponad siły i wydaje się, że przekraczają nasze możliwości, jednak konieczność poradzenia sobie, mimo wszelkich przeciwności losu, kształtuje nas i daje nam moc, jakiej się wcześniej nie spodziewaliśmy. Przede mną były zadania, o których jeszcze nie wiedziałam, ale miałam pewność, że mam w sobie siłę i żaden trud nie zdoła mnie obalić.

Mama bardzo martwiła się, że nie było z nami Ojca. Wiedziała, że przebywał w Ostrowi Mazowieckiej, oddalonej od nas zaledwie o osiemnaście kilometrów – niby niedaleko, ale w niemieckiej strefie okupacyjnej. Ojciec obawiał się aresztowania i deportacji, więc nie mógł mieszkać z nami. Gdyby go Sowieci złapali, nie uszedłby z życiem na pewno. Był ochotnikiem w wojnie 1920 roku, walczył z sowieckim wrogiem, nie chciał przekształcenia Polski w republikę rad i pewnie dlatego nas wysiedlili.

Gdy nas wywozili, byliśmy z Ojcem po dwóch stronach granicy naszego państwa wyznaczonej przez okupantów. Mama nie wiedziała więc, co się dzieje z jej mężem, czy żyje i czy się kiedyś z nim zobaczymy. Bardzo była z tego powodu zmartwiona i nieszczęśliwa.

Jechaliśmy dalej i dalej. Wypatrywaliśmy i wyczekiwaliśmy kolejnych stacji, na których będzie kipiatok, nasza woda życia, którą gospodarowaliśmy oszczędnie, bo nie wiadomo było, kiedy będziemy mogli wziąć następną. Wiedziałam oczywiście, że aby przeżyć, może nie być jedzenia, ale woda musi być, więc dobrze, że chociaż ona była. Bracia chętnie po nią chodzili. Julek miał osiem lat, a drugi, starszy, Włodek już lat trzynaście. Lubili te wyprawy po kipiatok i dźwigali go ochoczo, nie uskarżając się nigdy na ciężar, choć dla dzieci było to trudne zadanie. W pociągu woda była potrzebna do picia, ale też do jedzenia, bo Mama oszczędnie dzieliła zabrane z domu suchary (suszony chleb), które przygotowała przed naszym wyjazdem i nam dawała, ale tylko małe porcje, żeby ledwo zaspokoić głód i aby zapasów starczyło na dłużej. Maczaliśmy te suchary w wodzie. Bardzo nam smakowały, bo pozwalały oszukać głód, pęczniały i wydawało się, że jest ich więcej niż było. Jedliśmy, ale nie mogliśmy zjadać tyle, ile chcielibyśmy.

Basia tuliła się do Mamy, czasem płakała. Pytaliśmy ją:

– Czemu płaczesz?

– Jestem głodna.

Oddawałyśmy z Mamą nasze porcje głodnej Basi.

Spis treści

Wywiezieni.....	7
W wagonie.....	17
W pociągu.....	22
W bani.....	27
W barakach.....	31
Zesłańcy.....	37
Pracujemy.....	39
Groch i ziemniaki.....	41
Zima. Podwały.....	45
Pracujemy w Instytucie Warzywniczym.....	50
Szałas.....	55
Choroby.....	60
Wizyta.....	68
Prosiaczek.....	69
Czekolada.....	72
Pajok.....	78
Wyprawa.....	80
Wracamy.....	83
Powrót.....	88
Mama.....	91
Ojciec.....	93
Brat Władek.....	95
Basia.....	97
Julek.....	98
W tajdze.....	99
Czas leczy rany.....	101
Deportacje ludności w latach 1940–1941.....	103

